

Zapiski na chusteczkach



Katarzyna Krzan

KATARZYNA KRZAN

ZAPISKI NA CHUSTECZKACH

Copyright by Katarzyna Krzan & e-bookowo 2008

ISBN 978-83-61184-05-8



kontakt: wydawnictwo@e-bookowo.pl

Wszelkie prawa zastrzeżone.
Kopiowanie, rozpowszechnianie części
lub całości bez zgody wydawcy zabronione

Wydanie I 2008

www.e-bookowo.pl

[Kup książkę](#)

<i>ANIOŁY</i>	6
<i>KATARZYNA</i>	8
<i>ZAPISKI NA CHUSTECZKACH HIGIENICZNYCH</i>	9
<i>FALLEN</i>	10
<i>TO GRZECH</i>	12
<i>SPACER PO ŁODZIE</i>	14
<i>FILIP</i>	17
<i>WIECZÓR</i>	21
<i>POKARM BIOGENICZNY</i>	23
<i>KSIĄŻKA</i>	28
<i>AD ASTRA</i>	34
<i>KACPER</i>	38
<i>GARGANTUA</i>	42
<i>KRÓLEWNA NA ŚCIEŻCE</i>	45
<i>DOM WIEDŹMY</i>	49
<i>TATA</i>	55
<i>DERKAN</i>	61
<i>BOHATER?</i>	68
<i>ŚWIĘTY SPOKÓJ</i>	70
<i>TANIEC U WÓD</i>	76
<i>TAKI POMYSŁ NA POWIEŚĆ</i>	79
<i>JOSE FERNANDEZ</i>	81
<i>I ZNOWU TO SAMO</i>	83
<i>ALCHEMIK</i>	86
<i>PRZEMIANA HENRYKA</i>	92
<i>LAS</i>	97
<i>SOBOTA</i>	101
<i>ZNIKNIĘCIE</i>	104
<i>NADEJŚCIE</i>	108
<i>GŁUCHY WARIAT</i>	110
<i>PRZESYŁKA OPŁACONA PRZEZ NADAWCĘ</i>	112
<i>ZADANIE</i>	115
<i>WŁOSY</i>	117
<i>O ZMIERZCHU</i>	120

<i>BABCIA DO WNUCZKI</i>	123
<i>STRACH</i>	125
<i>WINDA</i>	127
<i>HISTORIA</i>	137
<i>WALKA</i>	139
<i>MATYLDA</i>	141
<i>SPRAWA IRONII NIEŚMIERTELNEJ</i>	147
<i>POCIĄG POCIĄGIEM</i>	151
<i>SMAK WINOGRON</i>	155
<i>PO</i>	156
<i>KUSZYCIELKA</i>	158
<i>CHOROBA</i>	165
<i>MARIPOSA</i>	167
<i>NIGHTINGALE</i>	173
<i>LEGENDA O MATCE</i>	176
<i>MORDERCA</i>	179
<i>WARKOCZ Z TRAW</i>	181
<i>WISIE</i>	183
<i>SŁOWA, SŁOWA</i>	184

ANIOŁY

Widuję anioły sześćcioskrzydłe. Ludzie mówią, że to z głodu. Ale ja nie jestem głodna. Moje ciało jest pokarmem samo w sobie i samo dla siebie. Słowo stało się ciałem, a ciało pokarmem. Czy ja bluźnię? Jeśli tak, to skąd się biorą te wszystkie anioły w mojej głowie, albo wokół mnie? A może to samo zło mamii mnie obrazami trzepoczących skrzydeł? Nie wiem. Ale i tak widuję anioły sześćcioskrzydłe.

Nic nie wiem. Czuję się taka słaba. Jestem za ciężka, by polecieć razem z nimi do nieba. Cięży mi moje ciało. Boję się, że mogę nie być niczym więcej... Boże, czy ja bluźnię?

Przychodzą do mnie stare kobiety. Oczekują cudów. Tak mówią i odmawiają różańce. Głowa mnie od tego boli, ale nie mam siły im o tym powiedzieć. Jeszcze uznałyby, że diabeł mnie podkusił, a to nie diabeł, tylko te anioły. Jest ich coraz więcej. Słyszę szum ich skrzydeł.

Był jeden doktor. Dziwił się, że żyję. Nie ruszam się. Nie mam ochoty. A oni wciąż przychodzą, żeby się przede mną modlić, jakbym była jakimś świętym obrazkiem.

Przestałam jeść, bo pragnę odlecieć razem z aniołami. Znowu jest ich więcej. Wiem, że chciałyby mnie wziąć za rękę i pociągnąć za sobą do góry.

Chcę być taka jak one. Muszę stać się aniołem. Czystą miłością.

Ciągle nie mogę się wznieść. Nie wiem, jak długo już to trwa. Może muszę najpierw umrzeć. A jeśli wszystko wtedy się skończy? I przestanę widzieć anioły? Boże, czy ja bluźnię?

Coraz mniej widzę. To chyba dobry znak. Aniołów nadal przybywa.

Przyszedł dziś (a może rok temu?) także i on. Poznałam. Chyba błagał o coś, bo klęczał trochę inaczej niż stare kobiety. Nie wiem, o co mu chodziło. Nie rozumie, że anioły przylatywały już wcześniej i on nic na to nie mógł poradzić. Ja sama nie mogłam. Były ze mną zanim się narodziłam, ale oddały mnie światu. To chyba jakaś próba. Życie jest egzaminem. Tak bardzo chciałabym go zdać i dostać się na powrót do nich. Do moich aniołów.

O, aniołki kochane, pomóżcie. Wyciągnijcie mnie z tego ciała i zabierzcie ze sobą.

Przestałam krwawić. Nie pocę się. Nie mam zapachu. Aniołowie też nie pachną, bo nie mają ciała. To chyba znak, że zaczęłam znikać. Powoli wygrywam z ciałem.

Dziś po raz pierwszy słyszałam, jak śpiewają. Chyba otworzyło się moje ucho wewnętrzne, bo nie słyszę już zdrowasiek, tylko śpiew aniołów. To cudowne. Chcę tak śpiewać. Nigdy nie umiałam. Nie, Panie, wybacz moją ohydłą pychę. Wybacz. Chcę Ci pokornie służyć. Oddaję się Tobie cała.

Anioły muskają mnie swoimi lekkimi skrzydłami po ciele. Są już wszędzie. Przesłoniły mi dawny świat. Czuję je, choć nie mogę ich dotknąć.

Jeszcze tylko troszkę...

ZAPISKI NA CHUSTECZKACH HIGIENICZNYCH

Nie ma tego złego...

Spadaniem zajęłam się dokładnie dwie sekundy temu. To jeszcze nie profesjonalizm, ale też nie amatorstwo.

W końcu spadam praktycznie i samodzielnie. Teorię znam z książek. Niektórym bohaterom udawało się nawet przeżyć takie spadanie z samolotu, choć definitywnie odmieniało to ich życie.

Moje też się zmieni. Jeśli przeżyję...

Spadam już dosyć długo. W końcu nadążam z robieniem notatek. Wysokość musi być duża. Może zdołam jakoś wytracić prędkość?

O, chyba nie. Widzę ziemię. Chmury się przerzedziły.

Rodzinie zapisuję wszystko, co mam. Siostrze, całą szafę. Zawsze coś z niej podbierała. Chcę być pochowana w sukni ślubnej. Takie marzenie. Mam prawo, choć nie mam męża, ale mogłabym mieć, gdyby nie ten samolot.

Wybaczam wszystkim i nie gniewam się na nikogo.

Chyba troszkę się załamalam. Ziemia coraz bliżej. Może będzie jakaś woda. Byle nie za głęboka i nie za płytka.

Mam chyba zbyt duże wymagania. Muszę kończyć, rozłożę ręce, to może się uda.

A jak nie

FALLEN

Krzyk noworodka jest wyrazem przeczucia bezmiaru tragedii wcielenia. Od momentu przedarcia się główki przez ciało matki zaczyna się ból materialnego istnienia.

Kropla ducha wszczepiona w ludzką tkankę jeszcze nie wie, co ją czeka, ale odczuwać zaczyna mękę różnicowania się komórek. Trwa to jakiś czas, aż ciało nabierze ludzkich kształtów. Można wtedy odpocząć, kołysząc się miękko w ciepłych wodach bezpieczeństwa. Ale nawet ten stan nie może być wieczny. Szybko okazuje się, że nadszedł czas na przeciśnięcie się przez otwór wielkości pomarańczy. Może to trwać chwilę. Może wiele godzin.

Zawsze jednak na końcu czeka chłód, ostre światło, czyjeś lekkie ręce i lodowate nożyczki oznaczające Odcięcie. Odtąd nie ma już powrotu. Chyba tylko poprzez wyschniętą rozsypkę gdzieś w wilgotnej ziemi. Stowarzyszenie umarłych poetów. Jednym ciałem z najbardziej pogardzanymi robakami świata. Ostateczna lekcja pokory. I, nieważne kim się było. Przez obie bramy trzeba przejść.

Takie myśli przychodzą do niego przed zaśnięciem. A przecież jest najszczęśliwszym człowiekiem na świecie. Każdego ranka wita życie z euforyczną radością, by po dwunastu godzinach żegnać się z nim na nowo. Jest przekonany, że umrze we śnie. Nie może być inaczej. Odkąd śnią mu się narodziny i śmierć. Razem. Wymieszane. Umierające noworodki i rodzący się starcy. Wszystko w jednym. Jak w jakiejś makabrycznej reklamie kremu odmładzającego.

Odkąd stał się człowiekiem, zaczął wierzyć w czas. Wcześniej nawet go nie zauważał. Po prostu trwał. Teraz poznał znaczenie liczb i wagę swojego ciała, które sezonowo kurczy się lub rozrasta, gdy pochłania smaki, o których kiedyś nawet nie mógł marzyć. Fascynuje go zresztą cały magiczny system trawienny, zdolny marchewkę przerobić na krew. I niech ktoś powie, że na świecie nie ma cudów.

Widział już wiele. Wieczność daje darmowe bilety na nieskończoną ilość spektakli. Ale przemiana materii stanowi dla niego najprawdziwszy dowód świętości istnienia.

Gdyby to człowiek zajmował się stwarzaniem świata, pewnie każałby ludzkości odżywiać się poprzez fotosyntezę. Tak byłoby łatwiej: trochę słońca dwa razy dziennie. Gdyby ktoś chciał schudnąć, siedziałby w domu, albo nosił parasol.

A tak: by żyć człowiek musi przerabiać w swoim ciele całe tony pokarmów i hektolitry płynów. A do tego: dbać o sprawy ducha. Jak pogodzić modlitwę z burczeniem w brzuchu? Gdy jest się aniołem, można bez zmrużenia okiem przez tysiąc lat śpiewać Hosanna.

Teraz rozumiał, dlaczego ludziom tak trudno trwać nieustannie w wierze. Teraz wszystko stało się jasne. I wygnanie z raj, i łyzy, i uleganie pokusom pierwszego upadłego. To była najwyższa odwaga w historii wszechświata: stanąć przeciwko wszystkiemu. To musiał być straszliwy ciężar. Sam nie czuł się z nim związany, ale pewnie po części był. Przez sam fakt dokonania wyboru. Choć uczynił to z miłości.

W języku angielskim słowa: upaść i zakochać się określane są tym samym czasownikiem: fall.

Anioł upadły to anioł zakochany

TO GRZECH

Pośród strumieni wrzącego źródła wspierałam się na palce. Chłodna mgła unosząca się nad wodą otuliła moje ramiona drobnymi kropelkami zraszając moje skrzydła. Wzlecieć, wzlecieć jak najszybciej nim mgła opadnie, nim ktokolwiek zauważy.

Poruszyłam skrzydłami jak najciszej, by nie zbudzić wiatru. Wciąż drżały tamtym płomieniem. Nie mogę im ufać. Muszę uregulować oddech, ochłodzić czerwone policzki. Nie mogą przecież poznać, gdzie byłam.

Wdrapałam się na brzeg. Trawa była mokra zimnym porankiem i przyjemną wilgocia niewidzialnego deszczu. Odpocznę chwilę. Położyłam się na trawie, niedaleko wrzącego strumienia. Ciało miałam ciągle nabrzmiałe, zmęczone. Powieki ciężkie, same układały się do snu. Tak. Zasnąć. Tylko na chwilę. Odzyskać siły. Nabrać świeżości nowego dnia.

Ale nie mogłam pozwolić sobie na sen. Mgła zaczęła już opadać. Mogliby mnie tu znaleźć chłopcy z pobliskiej wioski i wziąć za rusałkę.

Poczułam lekki powiew chłodu. Dzienny wiatr już się obudził, zaraz rozgoni resztki nocy. Otuliłam ciało skrzydłami. Były już prawie suche. Gotowe do lotu. Jeszcze chwilka i wrócę. Muszę wrócić. Choć tu jest tak cudownie. Ale tam jest przecież moje miejsce. Moja gwiazda, mój sen.

Nie poszłam na początku z nimi. Wybrałam wolność w błękicie. Ja tylko znałam. Więc teraz mogę bywać tu czasami, najlepiej nocą, gdy gwiazdy przesłonięte są chmurami, gdy nikt nie może nas zobaczyć, gdy

wyją wilki, gdy strach nakazuje ludziom pozostanie w domu. Tylko wtedy mogę opaść na sam dół. Do niego.

To grzech. Gotowa byłabym się go wyrzec, gdyby nie wiązał się z miłością. Nie ma piękniejszego świata od niebieskich krain. Nie ma. Ale zdecydował się przed wszystkimi czasami zejść na dół. Szeptali o władzy i wolności. Chciał, żebym poszła z nimi. Nie mogłam. Nie chciałam. To było smutne pożegnanie. Nigdy więcej nie mieliśmy... jako wrogowie... I rzeczywiście: walczyliśmy ze sobą w milionach bitew. Spotykaliśmy się przy umierających, walcząc o ich dusze. Widywaliśmy się przy narodzinach pełnych szczęścia i rozpacz. Wiele razy potykaliśmy się o siebie podczas szeptania do ludzkich uszu dobrych rad i pokus. Wypowiadaliśmy odwieczne formułki, patrząc sobie w oczy. Przyznaję, że niewiele nas obchodził los tych wszystkich dusz, choć staraliśmy się działać sprawiedliwie, ale tylko po to, by nas nie nakryto. To grzech.

Raz pokazał mi swoim przypalonym skrzydłem to przejście i zniknął bez słowa. Podwodną jaskinię, spod której wybuchają gorące źródła wprost z wnętrza ziemi. Przejście do jego świata. Bezpieczna strefa przygraniczna.

Bałam się. To był strach największy. Pokusa grzechu i obawa o utratę Łaski. Krążyłam nad tym miejscem latami, aż ludzie zaczęli opowiadać o bogini wód i składać mi ofiary z kwiatów. Nie mogłam na to pozwalać. Podjęłam decyzję. Nigdy więcej się tu nie pojawię. Ale tęsknota zmusiła mnie do zanurzenia się w gorących wodach którejś bezksiężycowej nocy. Bolało. Poczułam ciężar mokrych skrzydeł i jego dotyk, jakbyśmy nie byli duchami. To grzech, ale nie mogę go nie kochać.

SPACER PO LODZIE

Doskonale zakonserwowane ciało przedwcześnie zmarłej młodej kobiety wystawiono na widok publiczny przed kaplicą Najświętszej Pańienki w miasteczku Santo Grosso. Nie miała jeszcze szesnastu lat, gdy zmarła nagle, a właściwie zasnęła w drodze do tejże kaplicy wczesnym rankiem w niedzielę. Zastygła nagle. W bezruchu.

Nie odpowiadała na pozdrowienia mijających ją innych kobiet. Więc te, zaniepokojone, wezwały proboszcza. Ksiądz obejrzał ją dokładnie. Zajrzał w szeroko otwarte, jakby w wielkim zdziwieniu, oczy i oświadczył:

– Marita dostąpiła cudownego widzenia. Jej oczy ujrzały kryształowe schody do nieba i aniołów śpiewających wieczne Hosanna, a jej dusza z radości wyrwała się z ciała i pomknęła ku niebiańskim istotom, zupełnie zapominając o ciele. Módlmy się, bo oto stał się cud! Powinniśmy się radować, że to niewinne dziewczę spotkał tak cudowny zaszczyt i umarła mając przed oczami tak piękny widok.

Zabrano jej zeszywniałe już lekko ciało do kaplicy, skropiono wodą święconą i wezwano lekarza, aby stwierdził zgon, gdyż takie prawo obowiązywało w miasteczku: każda śmierć powinna być odnotowana przez don Fernanda. Lekarz, zwany don Fernandem, był jeden na całą prowincję. Bywał w Santo Grosso w środy, więc należało się spodziewać, że nie pojawi się wcześniej. Mimo to, wysłano po niego dwunastoletniego ministranta. Pozostało jeszcze powiadomić rodzinę Marity, któ-

ra chodziła na msze popołudniami, więc o niczym jej członkowie jeszcze nie wiedzieli.

Przyniesieniem złej, a zarazem dobrej wieści zajęły się kobiety, które całą gromadą udały się do domu Marity. Wszystkie chciały zobaczyć miny jej rodziców, kiedy dowiedzą się o cudzie. Idąc, omawiały precyzyjną strategię stopniowania napięcia tak, by finał wydał się możliwie jak najbardziej niesamowity. Wymyśliły więc, że na dziewczynę napadł po drodze wilkołak, przed którym obroniła się jednym spojrzeniem, co już świadczyć miało o jej świętości. Potem diabeł pod postacią pięknego młodzieńca kusił ją, by z nim poszła. Ten fragment był przygotowany dla narzeczonego Marity, Juana, najlepszego kawalera w miasteczku. Mieli się pobrać w przyszłym roku na wiosnę. Juan był bardzo zazdrosny o swoją ukochaną, więc ta historia powinna wyrzucić na nim silne wrażenie. Następnie miały opowiedzieć o niesamowitej wizji, którą miała Marita tuż przed wejściem do kapliczki. Tą wizję miała opowiedzieć wszystkim zgromadzonym na nabożeństwie i dopiero po skończeniu opowieści, zastygnąć na zawsze. Kobiety doszły do wniosku, że będzie to dobra historia i długo jeszcze będzie powtarzana.

Pozostała im jeszcze do omówienia kwestia przyszłego ożenku Juana. Doszły po wielu sporach do wniosku, że Juan po odpowiednim okresie żałoby będzie musiał wybrać sobie kogoś innego. Najlepsza dla niego będzie młodsza siostra Marity, trzynastoletnia Marina. Będzie to ładnie ze strony owdowiałego narzeczonego, no i posag zwiększy się o wiano drugiej siostry. I w ogóle będą same korzyści. Nie trzeba przecież będzie odwoływać uroczystości ślubnych. A to, że Marina jest bardzo młoda, to nawet dobrze. Juan będzie miał z niej dłużej pociechę.

Jak uradziły, tak postanowiły zrobić.

SŁOWA, SŁOWA

Słowa w pięknej okładce. Słowa zeszlone w ukochanych ustach, trzeba je stamtąd wydzierać przemocą, delikatnie. No, powiedz to wreszcie. Wyrzuć z siebie. Wiem, co myślisz. Słowa zakłète w milczeniu. Nigdy niewypowiedziane, a jednak tłą się gdzieś w czyimś umyśle. Lekko spróchniałe, gorzkie szkielety.

A tak bardzo potrzebne jest słowo mięsiste, pulchne jak eskimoska kobieta, drżące od własnego ciepła, mokre i klejące. Słowo, które przylepia się do twarzy jak mokre włosy tuż po kąpieli, kiedy przychodzi ochota na gorącą miłość gdzieś w połowie pustej drogi do zimnego łóżka.

Słowa chłodne jak sztylety, wypuszczane oszczędnie z zaciśniętych ust, kiedy już niczego nie można naprawić, ogrzać, wymienić, kiedy nawet przypadkowy dotyk jest jak rana boleśnie polewana jodyną. Zszyte wargi wydają z siebie tylko pomruki zniecierpliwienia własną bezradnością.

Wreszcie słowa nabazgrane na przypadkowych świstkach, pudełkach, biletach, chusteczkach. Nic nieznaczące, oderwane od sensu. Nie można ich poukładać, nie ma do nich klucza, ani nawet zamka. Wyrzucić, spalić lub zapamiętać. Tylko, po co one komu.

Słowa szeptane do ucha, szyte grubą sprośnością, od której przechodzi dreszcz podnieconego oburzenia. Trzeba wymawiać je cicho, by sprawiały przyjemność, a głośno, by drażniły świętoszkowate uszy.

Słowa wyryte na kościanych tabliczkach, wyjętych z ciał zmarłych. Makabryczna tablica, dziadek szkolnego zeszytu. Albo te wymalowane na skałach: nie rób tego i tego, nie karm tych zwierząt, nie zabijaj takich ludzi, nie deptaj tej trawy, chodzili po niej bogowie. Ale kto je dziś zrozumie. Wyglądają jak dziecięce bazgroły, świadectwo zabawy obok odcisniętych dłoni. Któż nie bawił się tak w dzieciństwie.

Najbardziej pozbawione duszy są słowa zaklęte w liczby. Ich nie można pokochać.